

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była wspaniała noc. Niebo oferowało cały komplet wszelkiego rodzaju gwiazd, od ledwo widocznych, poprzez błyszczące jaskrawo i złowieszco na prawie czystym czarnym niebie. Od czasu do czasu pojawiała się smuga światła spadającego meteorytu, co na szczęście, wcale nie musiało zapowiadać wojny. Na pewno jednak można było się spodziewać nadejścia dziwnych i tajemniczych wydarzeń, niekoniecznie przyjemnych.

Straszący ciemnymi plamami księżyc powoli sunął po niebie a sine poszarpane obłoczki wijące się tuż nad horyzontem, tylko na krótko przysłaniały jego hipnotyzującą tarczę. Szkoda. Taka jasna tarcza budziła w ludziach niepokój, czasami nawet uzasadniony.

Dwaj młodzi, około trzydziestoletni mężczyźni siedzieli na balkonie podrzędnego motelu. Jego właściciel zdecydował się ulokować swój interes niedaleko ruchliwej trasy z Brukseli do Lille i jak do tej pory nie żałował tej decyzji. Turyści bardzo często zatrzymywali się tu na noc, by rano spokojnie ruszyć dalej. Do obu miast mieli mniej więcej jednakową odległość i to było bardzo wygodne.

Pierwsze piętro, gdzie znajdował się balkon a na nim mężczyźni, nie był jakimś szczególnym miejscem, skąd można podziwiać widok. Parking, ginąca w ciemnościach szosa i nieprzyjemnie czarna ściana lasu, tuż za nią, to było to, czego większość turystów raczej nie ma ochoty oglądać o drugiej w nocy. Niedaleko, na pobliskim drzewie, zawzięcie zaczęła hukać sowa, co przypomniało niektórym nocnym markom, że pora już schować się pod kołdrę.

Obaj panowie, ubrani w sportowe bluzy z kapturami i džinsy siedzieli w wygodnych słomianych fotelach trzymając nogi na ozdobnej balustradzie balkonu. Ta półleżąca pozycja pozwalała im nie tylko relaksować się po długim joggingu, jaki często uprawiali nocą, ale i opierać na brzuchach szklanki z czerwonym sokiem, który z lubością popijali małymi łydkami. Niestety, zapas soku kończył się powoli i panowie będą musieli pomyśleć o zdobyciu nowego. Ta świadomość zawsze rodziła w nich lekkie podniecenie. Zdobywanie soku... Tak, to jest to, co naprawdę lubili najbardziej.

– Niezłe te gwiazdy... – mruknął od niechcienia czarnowłosy szczupły mężczyzna w bordowej bluzie.

– Mhm... Sporo ich – przyznał drugi, również czarnowłosa.

Umilkli zasłuchani w ciszę nocną i sowę. Był to w tej chwili jedyny odgłos przyrody. Ponure echo rozpływało się po okolicy i ginęło w pobliskim lesie.

Pozostałe niepokojące dźwięki miały swe źródło znacznie bliżej, bo dochodziły z jednego z pokoi hotelowych. Nie wszyscy bowiem, z nielicznych gości, spali smacznym zdrowym snem, tak jak powinni to robić ludzie prowadzący dzienny tryb życia. Jakaś para kochanków, z zapamiętaniem rozpoczęła swą trzecią grę miłosną, drażniąc zmysł słuchu sąsiadów w sposób bezczelny i bezwstydnym.

– Zenthel... – jęknął mężczyzna w bordowej bluzie. – Dlaczego ludzie mnie nie lubią. Co ja im takiego zrobiłem, że zawsze mnie nienawidzą.

– Nie wiem, Romes – westchnął nieco znużony Zenthel. – Już mógłbyś przestać o tym myśleć, bo w końcu zwariujesz.

– Przecież jestem przystojny, uprzejmy, miły dla wszystkich, naprawdę się staram... Dlaczego do cholery kobiety się mnie boją!

Zenthel zerknął z ukosa na przyjaciela dyskretnie oceniając jego „przystojność”. Fakt. Był przystojny. Westchnął ciężko. Od czterech lat słyszał ciągle to samo pytanie, na które nikt nie znał odpowiedzi.

– No bo, cholera, nie rozumiem tego! – Romes zdjął nogi z balustrady i wyprostował się w fotelu. – Dlaczego tylko zwierzęta dostają świra na mój widok! Przecież jestem dla nich katem!

– Stuknijmy się. Trzeba jakoś osłodzić sobie ten los.

Brzęknęły obie szklanki, czerwony sok zafalował delikatnie i kolejna jego porcja zniknęła w gardłach mężczyzn.

Jakby na potwierdzenie, że los naprawdę brutalnie zadrwił z Romesa, ciszę nocną przeciął wyjątkowo spazmatyczny jęk podekscytowanej kochanki i jej partnera. Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę.

– Co za cholernie frustrujące odgłosy!

– Jak chcesz mogę ich uciszyć.

– Daj spokój. Niech się jeszcze pocieszą życiem – mruknął nieszczęśliwy Romes tonem „widzisz jaki jestem uprzejmy?”

– Zaraz, zaraz... ktoś to już kiedyś powiedział... kto to był...

– Co mnie to obchodzi.

– Niech się jeszcze pocieszą życiem... niech się pocieszają...

– Na pewno jakiś podglądacz.

– Nie, nie, czekaj... niech się pocieszają... ROMES!!!

- Co!
- LORD!!!
- Jaki Lord?!
- No ten... jak on się nazywał....
- Ach TEN! – zaniepokoił się na dobre Romes. – Co z nim?
- Który dzisiaj jest?!
- Szesnasty sierpnia!
- Który rok?!
- ...O jasny gwint...
- Właśnie!
- Cholera! Czy ty zawsze musisz przypominać sobie wszystko w ostatnim momencie?!

Obaj mężczyźni błyskawicznie dopili krew, gdyż to ona właśnie była tajemniczym sokiem, po czym rzucili się do pokoju. W parę minut spakowali swoje rzeczy i wybiegli na oświetlony słabym światłem parking. Nerwowym ruchem Romes otworzył drzwi najnowszego, czarnego modelu audi, a już po chwili pędzili przed siebie zostawiając gdzieś z boku Brukselę i Lille, gdyż te właśnie miasta i ich mieszkańcy nie powinni nas więcej interesować.

Celem wyprawy była mała, ponura wioska, zapomniana przez cały świat, leżąca gdzieś na trasie do Bonn. Oprócz tego, że wioska była ponura i zapomniana, posiadała również mało wpadającą w ucho nazwę, której nikt z przejezdnych nie starał się nawet zapamiętać. Było to bardzo praktyczne i wygodne nie tylko dla tubylców.

Obaj przyjaciele, pokonując prawie dziewięćdziesiąt kilometrów, dotarli na miejsce w niespełna pół godziny, pędząc na złamanie karku, co w przypadku wampirów nie miało jakiegoś szczególnego znaczenia.